

W tym inteligentnym,
przenikliwym studium
polityki, korupcji,
wyzysku i przebiegłości
prawdziwego
sportowego geniuszu
w pełni ujawnia się
talent Burnsa.

„TIME OUT”

NOWA EDYCJA.
ZAWIERA
NIEPUBLIKOWANE
DOTĄD MATERIAŁY.

MARADONA RĘKA BOGA

JIMMY BURNS

ALBATROS

Tytuł oryginału:
MARADONA: THE HAND OF GOD

Copyright © 1996 and 2010 and 2021 by Jimmy Burns
All rights reserved

This translation of *Maradona: The Hand of God* is published by Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
by arrangement with Bloomsbury Publishing Plc and Macademia Literary Agency, Warsaw

Książka wcześniej ukazała się pod tytułem *Ręka Boga. Życie Diego Maradony*

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2021

Polish translation copyright © Zysk i S-ka 2004 (wstęp oraz rozdziały 1–22)
& Robert Waliś 2021 (fragment wstępu oraz rozdziały 23–24)

Konsultacja: Adam Saługa

Korekta: Sabina Raczyńska, Jolanta Rososińska

Noty copyright na zdjęcia w środku znajdują się na końcu publikacji

Zdjęcie na okładce: © Reuters/Forum

Projekt graficzny okładki oryginalnej: Bloomsbury Publishing

Opracowanie graficzne okładki polskiej: Kasia Meszka

ISBN 978-83-8215-483-2

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa
wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros



Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Konwersja do formatu ...

...
...

WPROWADZENIE

JEŻELI KTOŚ WĄTPIL, ŻE DIEGO Maradona był kimś więcej niż tylko piłkarzem, wystarczy, by popatrzył na nagłówki gazet donoszące o jego śmierci dwudziestego piątego listopada 2020 roku. Zarówno francuskie „L'Equipe”, które oznajmiało *Le Dieu est Mort* („Umarł bóg”), jak i argentyńskie „Olé”, gdzie napisano *Nieśmiertelność: od 1960 do nieskończoności*, przypominają nam, że mieliśmy do czynienia nie tylko z piłkarskim geniuszem, ale też z prawdziwą ikoną i legendą. Na jednej z tabliczek trzymany przez ubogich argentyńskich *descamisados*, „ludzi bez koszul”, widniał napis: *Nieważne, co zrobiłeś ze swoim życiem, ale ważne, co zrobiłeś z naszym.*

Powracają do mnie wspomnienia pewnego dnia z początku lat dziewięćdziesiątych, gdy wybrałam się pociągiem z centrum Buenos Aires do jednej z ubogich dzielnic, by odnaleźć korzenie Maradony z myślą o biografii, którą zamówiono u mnie ze względu na moje częściowo hiszpańskie korzenie, miłość do piłki nożnej oraz fakt, że w latach osiemdziesiątych pracowałam jako zagraniczny korespondent w Buenos Aires. Okazało się, że nic z rzeczy, które dotychczas wiedziałem o życiu Maradony – zarówno na boisku, jak i poza nim – nie mogło mnie przygotować na to, co odkryłem.

Znalazłem się na niewybrukowanych ulicach, cuchnących otwartymi kanałami i gnijącymi odpadkami, gdzie zbudowana z kawałków metalu, luźnych cegieł i tektury chata, w której Maradona spędził dzieciństwo, stała zachowana niczym świątynia przystrojona kwiatami i różańcami.

Kiedy dotarły do mnie wieści o jego śmierci, w mojej głowie pojawił się pewien obraz: kilkuletni Maradona kopiący piłkę w swoim sypiącym się domu. Już wtedy potrafił kopnąć z potężną siłą i determinacją po tym, jak jego lewa stopa znudziła się tańcem z piłką.

W późniejszych latach media, głównie argentyńskie, skupiały się przede wszystkim na jego talencie i niemal magicznych umiejętnościach. Ale Maradona nigdy nie zapomniał o upokorzeniu, jakie wiąże się z przyjściem na świat w slumsach. To ono ukształtowało jego podejście do życia i podsycalo głód wybicia się w świecie, który nie dawał wielu szans ludziom o jego pochodzeniu – był dzieckiem ubogiej włoskiej imigrantki i przedstawiciela rdzennej ludności. Zapewniło mu także wielką popularność, zwłaszcza wśród biedoty, dla której futbol był ucieczką i oknem na świat.

Mistrzostwa świata w Meksyku w 1986 roku pozostają symbolem jego kariery. W ćwierćfinałowym meczu przeciwko Anglii Maradona zdobył niesławnego pierwszego gola przeciwko historycznemu wrogowi Argentyny, wbijając piłkę do siatki ręką, czego nie zakwestionowali ani arbiter główny, ani sędzia liniowy. Tylko jego rodacy usprawiedliwiali to oszustwo. Druga bramka, której oglądanie nigdy mi się nie znudzi, była wyborna. Maradona przejął piłkę na swojej połowie, a następnie przedryblował całą angielską obronę, poruszając się z idealną równowagą i rytmem. Prawdziwa poezja ruchu.

W tych dwóch bramkach zawiera się cały niedoskonały geniusz Maradony. Pierwsza ukazuje go jako ulicznego łobuziaka, który wyrósł na gwiazdę, ale wciąż nie jest pewny własnej wartości, więc musi się uciekać do oszustwa. Druga przedstawia Maradonę jako niezwykle utalentowanego zawodnika o nieprzeciętnych umiejętnościach. Gorszi piłkarze w tym wypadku musieliby się wspomóc ręką. Maradona uwierzył, że on również nie miał innego wyjścia, i później to usprawiedliwił, podczas gdy ze swoim talentem mógł sobie pozwolić na czystą grę, i właśnie na tym polegał tragiczny wydzźwięk tej sytuacji.

Jego rodacy postrzegali obie te bramki jako dzieło kogoś, kto przemawiał do ich serc i był najlepszym dobrem eksportowym Argentyny, zawodnikiem obdarzonym wybitnym stylem oraz wizją, uznawanym na całym świecie za najlepszego piłkarza w historii. Takie podejście

zachęcało Maradonę do uznania swojego zagrania za boską interwencję.

W Meksyku, gdzie Argentyna wywalczyła tytuł mistrza świata, Maradona stał się wcieleniem swojego narodu i symbolem jego odkupienia po upokarzającej wojnie o Falklandy, a także barankiem ofiarnym, składającym na ołtarzu swoje ciało, zmagającym się z wewnętrznymi demonami, które już wtedy zaczynały nim kierować, choć zawsze był w stanie obronić się przed ostatecznym upadkiem. W świetle reflektorów walczył z uzależnieniem od narkotyków i alkoholu oraz cierpieniami i zniszczeniem, jakie wywołały w jego życiu osobistym i publicznym. Ostatnie dziesięć lat życia Maradony opisane w tej książce to ostateczne rozliczenie z moim pozornie niemającym końca biograficznym spotkaniem z tym piłkarzem. Te lata uwytknęły jego postępujący upadek i to, w jaki sposób roztrwonił otrzymany od Boga talent za sprawą narkotycznych ekscesów i rodzinnych zawirowań, pośród których pojawiały się tylko przebliski odkupienia.

Życie Diego Maradony obrosło mitami i niedopowiedzeniami, co być może stanowi odzwierciedlenie argentyńskiej duszy, od zawsze szukającej zbawiciela, który wydobędzie ją z politycznego i gospodarczego bagna, ale zarazem świadczy o dziedzictwie, które w czasach zagubienia i niepewności, uzdrowienia i nadziei przekracza narodowe granice.

Maradona był tragicznym geniuszem, a jednocześnie człowiekiem z krwi i kości. Urodził się w biedzie i dzielnie walczył z przeciwnościami losu. Został najlepszym piłkarzem na świecie i dał swoim kibicom mnóstwo radości. Obdarzał innych cierpieniem i miłością. Buntował się przeciwko potężnym i nieczułym, jednocześnie przemawiając do ubogich i doświadczonych przez los.

Oto opowieść o chłopaku, który był urodzonym talentem piłkarskim, uwierzył, że jest bogiem, i musiał to odpokutować. Pierwsze trzydzieści sześć lat życia Diego Maradony (1960–1996) to czas, gdy futbol z popularnej rozrywki stał się sportem światowym, być może głównym, a nacisk mediów i reklamy na piłkarzy, fanów i działaczy klubowych stał się tak wielki, że trzydzieści lat wcześniej nikomu by to nawet nie przyszło do głowy. Głosząc wszem wobec, że urodził się,

aby grać dla ludzi, Maradona w istocie stał się ważnym trybikiem w produkującej pieniądze maszynie, którą napędzają transfery, praca do transmisji, sponsorzy i reklama.

Za szczęście uważam to, że niewiele rozrywek było dla mnie przyjemniejszych od gry w piłkę w lecie na hiszpańskiej plaży czy od przyłączenia się do weekendowej angielskiej kopaniny. Uwielbiam ekscytować się grą, siedząc z rodziną i przyjaciółmi na trybunach Nou Camp, Wembley czy La Bombonery. W połowie jestem Hiszpanem, w połowie Anglikiem, na dodatek z domieszką włoskiej krwi, dlatego mogę całkiem szczerze jednego dnia kibicować Newcastle i Barcelonie, drugiego – Milanowi i Boca Juniors. Wierzę w instynktowną uniwersalność futbolu.

Urodziłem się w Hiszpanii, ale ukształtowały mnie kultura europejska i południowoamerykańska, Maradona musiał więc mnie urzec. Tego piłkarza nie zrozumie ktoś, kto nie widział go grającego, kto nie obserwował jego – jak się zdawało – niezliczonych sztuczek, nie doznał charyzmy jego osobowości, kto nie widział, jak zachwyca zwolenników i doprowadza do wściekłości przeciwników. Choć poczynania Maradony na boisku prawdopodobnie zostały przez dziennikarzy sportowych opisane dokładniej niż wyczyny jakiegokolwiek innego ze współczesnych sportowców, to gdy usiłuje się opisać po angielsku pewne istotne detale, natrafia się na nieprzekraczalne granice.

Mimo że wybrałem kilka meczów, aby na ich przykładzie zilustrować piłkarski talent Maradony, nie jest to książka o zdobywcy goli. Pisząc o Maradonie, chciałem przede wszystkim zgłębić pewien fenomen społeczny, polityczny i religijny. Robiąc to, usiłowałem wejrzeć poza obraz Maradony znany ze stadionowych ekranów i naświetlone mity oraz rozległe interesy, które wiązały się z nim od samego początku kariery: od przesądów i intryg politycznych w rodzinnej Argentynie, po jego zawile relacje z lekarzami i działaczami piłkarskimi podczas futbolowych mistrzostw świata.

Przygotowanie tej książki wymagało nie tylko podróży i badań, niekiedy związanych z pewnym ryzykiem, ale także współpracy wielu ludzi pomagających mi spenetrować tajemny, oparty na samooszustwie i propagandowych efektach świat, którym Diego Maradona po-

zwolił się obudować. Jemu osobiście czuję się bardziej wdzięczny, niż byłbym to sobie w stanie wyobrazić w 1982 roku, gdy po raz pierwszy zobaczyłem go grającego (kiepsko) z Rosjanami, a nasze kraje – Argentyna i Wielka Brytania – toczyły wojnę o Falklandy. Nagle nad stadionem River Plate przeleciał okrzyk „Kto nie skacze, jest Anglikiem!” i wszyscy zaczęli podskakiwać. Poczułem się wtedy pewnie tak jak mój ojciec, gdy w czasie drugiej wojny światowej wypełniał w Madrycie tajną misję dyplomatyczną i podczas walki byków niespodziewanie odegrano niemiecki hymn. Maradona pomógł mi zrozumieć, dlaczego futbol powinien być ważny, a dlaczego nie powinien, oraz jak może człowiekowi pomóc w przetrwaniu najtrudniejszych chwil. Nie miałem dość pieniędzy, cierpliwości i łatwowierności, aby zabiegać o godziny utrwalonych na taśmie rozmów z moim bohaterem. Kiedy jednak byłem w połowie swych studiów nad Maradoną, jego psychoanalityk powiedział mi, że zaczynam wiedzieć o nim więcej niż on sam. Dodatkowo utwierdziły mnie w tym słowa Ossiego Ardile-sa: „Kłopot z książką o Diego Maradonie polega na tym, że prawda boli”. Ossie należał do tej niewielkiej grupki zawodników, krewnych i przyjaciół Maradony, którzy później nie zgodzili się na wykorzystanie w książce wywiadów z nimi; argumentowali, że skoro nie jest autoryzowana, to musi być nielojalna wobec Diega. Szanuję ich postawę znacznie bardziej niż tych, którzy nie zgodzili się na rozmowę, gdyż – jak się okazało potem – mieli zbyt wiele do ukrycia. W każdym razie książka ta nie mogłaby powstać, gdyby nie pomoc grona ludzi – żyjących blisko Maradony i z dala od niego – którzy podzielili się ze mną swoją wiedzą, obserwacjami i ocenami.

Niektóre z tych osób chciały pozostać anonimowe, inne wymieniam w tekście. Szczególną wdzięczność żywię wobec Jorge Cyterszpiler, Carlosa Bilardo, Césara Menottiego, Marcosa Franchiego, Vincenzo Sinischalskiego, Nicolau Casausa, Settimio Aloisia i Terry’ego Venablesa za to, że potrafili znaleźć dla mnie dość czasu w swych niesłuchanie napiętych harmonogramach zajęć. Peter Parker bardzo mi pomógł na wczesnym etapie poszukiwań, podobnie jak Maria Laura Avignolo, Marcela Mora y Araujo oraz Gabriela Cerruti.

Serdecznie dziękuję też następującym osobom, które w ten czy inny sposób przyczyniły się do powstania mojej książki: w Wielkiej Bry-

tanii – Simonowi Kuperowi, Peterowi Aspdenowi, Simonowi Greenbergowi, Williamowi Lewisowi, Clayowi Harrisowi, Andy’emu Andersonowi, Robinowi Pauleyowi, Richardowi Lambertowi, Ninie Higgs, Brianowi Glanville’owi, Tony’emu Masonowi, Alanowi Tomlinsonowi, Estebanowi Cichello Hubnerowi, a także niesłychanie pomocnemu personelowi londyńskich bibliotek oraz „Financial Times”; w Hiszpanii – Tomowi Burnsowi, Davidowi White’owi oraz „Isie” w madryckim oddziale FT, biuru prasowemu i bibliotece FC Barcelona, „El Lobo” Carrasco, Paco Aguilarowi, Luisowi Fernandowi Rojo, Manolo Salcedowi, José Manuelowi Garcíi, José Vincentemu Hernaezowi, a także całemu personelowi „Marca” i „El País”; we Francji – Alejandro Valentemu i pracownikom „France Futbol”; we Włoszech – Candido Cannawowi, Andrei Bungiovanniemu, Eliemu Trifariemu, Rosario Pastoremu, Jennifer Grego, Gustawowi, Angelowi i całej redakcji „Gazzetta dello Sport”, Robertowi Grahamowi, Bruno Passareliemu, Julio Algañarazowi, Franco Espositowi, Martinowi Bokhartowi, Gerardo Kaiserowi i całemu personelowi brytyjskiego konsulatu w Neapolu, Carlo Julianowi oraz personelowi FC Napoli, personelowi hotelu Paradiso, Cristianie Sina-grze, Juanowi Carlosowi Laburu i Paulo Paulettiemu. W Argentynie – Roberto Guareschiemu, Ricardo Kirschbaumowi, Mariano Hamiltonowi, Ricardowi Roa, Horacio Paganiemu, Nestorowi Straimmelowi oraz całej redakcji „Clarín”, Guillermo Blanco, Jorge Ruprechtowi, Ernesto Cherquisowi Bialo, Amy Wright, Fernando Niembrowi, Ezequielowi Fernándezowi Mooresowi, Judith Evans, Mariano Grondonie, Danielowi Antonio Stradzie, Andresowi Federmanowi, Mathew Domanowi, Davidowi Pillingowi, Rogerio Garcíi Lupo, Silvinie Wagner, Isidoro Gilobertowi, Pablo Llontowi, Margaricie Mitchell, Emilio Mignonemu oraz Oscarowi Davili.

W Buenos Aires specjalne podziękowania za gościnność i pomoc logistyczną należą się Sonii de Garcíi i hotelowi Principado oraz Dianie Tussie, Johnowi Fernandesowi i pracownikom Aerolíneas Argentinas. Winny jestem też wdzięczność dawnym i obecnym przedstawicielom FIFA, a wśród nich Andreasowi Herrenowi i Guido Trognoniemu. W Londynie niezmiennie wspierała mnie na duchu moja agentka Caroline Dawnay oraz moi wydawcy: Penny Phillips, Jocasta Brownlee i Caroline Taggart.

Przez cały czas pracy nad książką o Diego Maradonie zachęcała mnie, dodawała otuchy i otaczała ciepłem Vikki Orvice. Najwięcej zawdzięczam jej i pamięci Freda.

Chciałbym jeszcze dodać kilka nazwisk osób, które pomagały mi w pracy nad ostatnim rozdziałem tego wydania książki. Jestem wdzięczny Patrickowi O'Brienowi za artykuł *Close up with Maradona* zamieszczony na łamach „Sport for Business” 27 listopada 2020 roku. Serdeczne podziękowania otrzymują także Asif Kapadia, Angus Macqueen, Nicky Bolster, Maria Laura Avignolo, Fernando Signorini, Marcela Mora y Araujo, Annabel Merullo z agencji literackiej Peters Fraser & Dunlop, cała ekipa w wydawnictwie Bloomsbury – a zwłaszcza Nigel Newton, Paul Baggaley, Sarah Ruddick i redaktorka Catherine Best – a także, a może przede wszystkim, Kidge, Julia, Miriam i Nadia.

UMIERAJĄC Z DIEGO MARADONĄ

TEN ROZDZIAŁ JEST OPowieścią o dwóch historiach, a właściwie o dwóch historiach, które stały się jedną dzięki moim spotkaniom z tragicznym geniuszem światowego futbolu zawodowego.

Mówi o tym, co Diego Maradona powiedział i zrobił po ukazaniu się (nieautoryzowanej) biografii, *Maradona. Ręka Boga*, a także o dziwnych zmianach, jakie zaczęły następować w moim życiu w efekcie pisania o Maradonie. Po drodze obaj wzięliśmy odrobinę jeden z drugiego.

Mam mu za złe, że rozpoczął tę historię, postanawiając przyjechać do Londynu na początku września 1996 roku, właśnie wtedy, gdy moja książka zaczynała się pojawiać w księgarniach. Diego, który coraz bardziej pogrążał się w spowodowanej narkotykami nerwicy, nagle zaczął odzyskiwać chęć do życia, podczas gdy ja popadałem w monumentalną depresję i bezczynność.

W przeddzień przylotu Maradony do stolicy Wielkiej Brytanii ktoś dzwoni do mnie z Buenos Aires, aby puścić mi nagrany na taśmie radiowy wywiad, którego Diego udzielił przed wyjazdem. Jest pełen werwy. Razem z żoną, Claudią, robią kolejne podejście do pierwszego syna. „Mam nadzieję, że tym razem moje plemniki znajdą sobie drogę”, oznajmia młodemu argentyńskiemu reporterowi, z którym spożywa w swoim mieszkaniu makaron i sałatkę pomidorową. Kilka tygodni wcześniej opuścił Boca Juniors; nie strzelił kilkunastu karnych, powszechnie się mówi o jego problemach z narkotykami. Może nie strzelał już tylu goli, co kiedyś, zdaje się mówić, ale pieprzyć i robić dzieci wciąż potrafię.

W 1986 roku, po meczu z Anglią, Maradona podziękuje Bogu za bramkę strzeloną ręką. Kiedy pudłował przy dyktowanych dla Boca karnych, winą obarczał piekło. „To czarownice sprzysięgły się przeciw mnie”, tłumaczył miejscowym gazetom. Obawiam się, że i na mnie ciąży klątwa. Moja gwiazda spadła z nieba i rozprysła się. Zostałem wychowany przez jezuitów, ale nawet oni nie przygotowali mnie wystarczająco na Diega.

Kiedy myślę, że zobaczyłem już ostatni rozdział jego życia, Diego oznajmia, że przyjeżdża do Londynu, aby uświetnić międzynarodowe rozgrywki drużyn szkolnych sponsorowane przez Eurosport i Pumą. Anglicy mogą mu dalej pamiętać tę sztuczkę z ręką, ale on zawsze myśli o nich z szacunkiem. Zresztą, czyż rok wcześniej nie został entuzjastycznie powitany w Oksfordzie, gdzie otrzymał honorowy tytuł Inspiratora Marzeń?

Popadam nie tylko w depresję, ale też w przerażenie. Nie wierzę, że Diego przyjeżdża do Londynu jedynie po to, aby pokopać sobie piłkę z gromadką dzieciaków w parku Battersea. Wkrótce po jego wywiadzie w argentyńskim radiu budzę się w nocy zlany potem: śniło mi się, że Diego gonił mnie po Trafalgar Square, otoczony armią prawników w garniturach i goryli z futerałami na skrzypce.

Mijał właśnie mniej więcej rok od czasu, gdy pojawiłem się w najpopularniejszym argentyńskim talk-show w towarzystwie menedżera Maradony, Guillermo Coppoli, oraz byłego trenera argentyńskiej reprezentacji, Carlosa Bilardo, i oznajmiłem, że przygotowuję książkę o życiu i czasach Maradony. I teraz ta czcza przechwałka miała się na mnie zemścić. Wyobrażałem sobie, że Diego wybiera się do Londynu, aby mnie zniszczyć psychicznie, fizycznie i prawnie.

Wtedy przypomniała mi się rada mojej niezującej już babki Hiszpanki: jeśli grozi ci atak, najlepiej go uprzedź. W obstawie dwóch agresywnych kobiet późnym sobotnim wieczorem zjawiam się z egzemplarzem mojej książki w restauracji San Lorenzo w Knightsbridge, nieopodal Harrodsa, w której Diego miał jeść kolację.

Jeśli człowiek nie jest dziennikarzem albo – przypadkiem – autorem książki o Diego Maradonie, do San Lorenzo może wejść tylko wtedy, jeśli ma pieniądze albo arystokratyczny tytuł. Diego lubił tam przebywać, aby pokazać, że nie ma na świecie miejsca, do którego nie

miałby wstępu. Brakowało mu błękitnej krwi, ale nędzę przedmieścia dawno już zostawił za sobą.

Siedzi przy stole z Coppolą, swoim menedżerem, i Viallim. Grający w Chelsea Włoch jest milczący i trzeźwy (nazajutrz ma mecz na stadionie Stamford Bridge), ale Diego popija, a może bierze też coś jeszcze, żeby poprawić sobie humor. Wygląda na to, że nie zauważa ani mnie, ani towarzyszących mi kobiet. Chyba nawet nie pamięta, że się poznaliśmy, że prześledziłem całą jego drogę z Buenos Aires do Oksfordu, via Neapol, Barcelona i Paryż, i że napisałem o nim książkę.

Zdaję sobie sprawę, że Diego znajduje się w takim stanie, że może albo rozbić kieliszek, rzucić we mnie butelką czy przewrócić stół, albo nic nie zrobić. Wręczam mu książkę takim gestem, jakbym w rosyjskiej ruletce podawał przeciwnikowi pistolet. Wolałbym jednak wierzyć, że wręczam mu część jego duszy. Na wewnętrznej stronie okładki widnieje dedykacja: *Dla Diega: życie, jak je pojąłem*. Chciałem wyrazić w tych słowach tyle, że jest to biografia krytyczna, ale prawdziwa. Kiedyś jednak Ossie Ardiles, rozmawiając ze mną o Maradonie, powiedział: „Prawda boli”.

Diego bierze książkę jak przedtem menu, spogląda na dedykację, a potem przewraca strony z miną człowieka, który nie ma ani nastroju, ani chęci, aby się w cokolwiek wczytywać. Zatrzymuje się tylko przy fotografiach, zaśmiewając się jak niegrzeczny chłopiec, zwłaszcza przy tej, na której w 1986 roku pozuje z całą rodziną Giuliano (kierującą neapolitańską camorra).

Jeśli i ja jak dotąd powiedziałem jedynie: „Cześć, Diego, to moja książka o tobie”, to dlatego, że miejsce trwogi zajęła fascynacja: czekam na jego reakcję. Nie odzywa się ani słowem i dopiero teraz dociera do mnie, że być może jednak mnie rozpoznał, kiedy wchodziłem. Nie zamierza mi ani dziękować, ani przyłać: postanowił mnie zignorować.

Przyjął pistolet, wystrzelił i teraz siedzi cały i zdrowy przy kolacji w San Lorenzo. Kiedy zamyka książkę i przesuwają ją po stole do Coppoli, grupka kelnerów podchodzi i prosi po włosku o autograf. W ślad za nimi zjawia się kierownik restauracji i obejmuje Diega niczym dawno niewidzianego brata. Wygląda na to, że teraz wszyscy w lokalu spoglądają tylko na niego. San Lorenzo przypomina mi w tym

momencie *Ojca chrzestnego* i Włochów całujących się w rytuale ple-
miennej zgody.

Diego, ty sukinsynu, myślę w duchu. Przez cały rok nie dosypia-
łem i nie dojadłem, żeby dojść do tego, co ukrywałeś przez całe życie,
a ty teraz nie masz mi nawet słowa do powiedzenia!

Tylko osoby siedzące przy jednym stoliku przyglądają się tej sytu-
acji z niejakim zdziwieniem. Mężczyźni i kobiety, w których żyłach pły-
nie niebieska krew; wszyscy uczęszczali do prywatnych szkół i odzie-
dziczyli bogactwo. Lubią strzelać, polować i grać w polo. Przestali
kupować u Harrodsa, kiedy przejęli go Arabowie, niemniej jednak San
Lorenzo nadal mieści się w ich świecie. Dzisiaj odnoszą wrażenie, że to
ich terytorium zajęto, a o tym, do jakiego stopnia je zajęto, przekonują
się, gdy jedna z kobiet z ich towarzystwa wstaje, by iść do toalety. Wy-
soka blondynka z zadbaną różową cerą; trochę podobna do Lady Di.
Diego na pół unosi się z krzesła i głośno zaprasza ją po hiszpańsku do
swego stolika. Towarzysz kobiety podrywa się gniewnie i odpowiada
po angielsku: „Pan daruje, panie Maradona, ale to moja narzeczona
i ma już stolik, przy którym siedzi”.

Diego wybuchając śmiechem, kobieta wyniośle odchodzi, a kelnerzy
śmieją się razem z Maradoną, który przeprosza tak, że nikt nie wie-
rzy w szczerść jego słów, zwłaszcza ja. W tym momencie nienawidzę
Diego Maradony i kocham go.

Być może pielęgnowałbym w sobie obsesyjną melancholię, gdyby
Diego nie zdecydował, że to nie będzie noc zwierzeń. Moglibyśmy sie-
dzieć, popijając czy może nawet wspólnie wachając kokę i opowiadając
sobie przy tym swoje życie, Coppola nie pozwala mi jednak wsiąść do
taksówki, która zabiera ich do nocnego klubu Ministry of Sound na ty-
łach hotelu Dorchester, gdzie dziwki mieszkają się z bogaczami.

– Diego nie przepada za tym Anglikiem – wyjaśnia szeptem jed-
nej z dziewczyn z mojej obstawy, a ja rozumiem, że oto zaczęła się
kręcić ruletka.

WEDEŁUG INFORMACJI Z „NEWS OF the World”, po wizycie w San Lorenzo
Diego zaprasza do hotelu kilka królowych nocy. Wybiera jedną z nich,
Brazylijkę, aby razem z nim raczyła się kokainą. Nie wiem, czy na

pewno tak było, w każdym razie jestem przekonany, że nad ranem w niedzielę na londyńskiej Mayfair wszystko jest możliwe. Ja kładę się spać, nie mogąc się oprzeć czemuś w rodzaju osobliwej zazdrości. Samotny w łóżku, czuję się porzucony niczym pies bez smyczy.

Potem życie zaczyna się o mnie troszczyć podobnie jak o Diega. Następnego dnia, kiedy za Maradoną uganiają się po parku Battersea setki fanów, odbieram telefon z Madrytu i zostaję zaproszony do jednego z najbardziej cenionych programów. Oto ucieczka, za którą się rozglądałem. Kiedy w Londynie zapowiada się jesień, we mnie zaczyna się budzić delikatna niechęć; bardzo potrzebne mi jest ciepło i światło Hiszpanii, gdzie się urodziłem, osiem lat wcześniej niż Diego.

I oto zaczynamy podążać za sobą, niczym cień za ciałem, co odkrywam cztery dni później, kiedy wylądowawszy w Madrycie, dowiaduję się, że Maradona z Londynu poleciał do Alicante na południu Hiszpanii, aby tam ponownie poddać się kuracji odwykowej w klinice prowadzonej, jak zwykle, przez specjalistę, o którym słyszało niewiele lekarzy. Diego wierzy w medyków, ale nie w medycynę; wierzy w cuda i boskie podszepty, które pozwolą oszukać życie i śmierć. Jest wrzesień, pora, gdy wszyscy najlepsi europejscy piłkarze dopinają gigantyczne transfery i przygotowują formę do nowego sezonu. Tymczasem w Alicante Diego Maradona, kiedyś największy ze wszystkich piłkarzy, uczestniczy w scenie, która gdyby rozegrała się w Chicago, zostałaby może opisana przez Normana Mailera.

Mailer w książce *W niewoli seksu* tak mówi o sławie:

Sława to częściej dzwoniący telefon i domaganie się wywiadów, których nie masz ochoty udzielić i nie udzielasz; sława to ludzie z ulicy, którzy powodowani sympatią, przerywają ci tok myśli; sława to także konieczność powstrzymywania się od sikania w zaułkach w obawie przed gliniarzami oraz tytułami na pierwszych stronach gazet; sława powstrzymuje cię przed robieniem z siebie głupka na parkiecie. Sława to niemożność anonimowego urznięcia się w pierwszym lepszym barze, a więc i ukojenia obsesyjnej melancholii w noc prawdy.

To pewne, że wraz z Maradoną uczyć się czegoś na temat sławy. W Alicante w wywiadzie dla miejscowego radia Diego snuje wyznania na temat swego uzależnienia od narkotyków, a potem uderza w moją książkę: „Burns nie jest w porządku, wylewa na mnie pomyje”, oświadcza, a potem wymienia listę zawodników, menedżerów i agentów, którym wytoczy procesy za to, że udzielili mi pomocy, gdy badałem jego życie. Wiem, rzecz jasna, że książki sam nie przeczytał, bo nie zna angielskiego, natomiast ktoś przeczytał mu kilka pierwszych stron, na których składam podziękowania wielu ludziom. Diego czuje się zdradzony i oznajmia, że dotychczasowi przyjaciele to tak naprawdę wrogowie.

Kilka godzin później wraca do hotelu i mówi Coppoli, że chciałby się zabawić, zaczynając od miejscowego klubu nocnego, który funkcjonuje także jako burdel. Coppola najpierw stara się go powstrzymać, ale potem – tak jak zawsze robili menedżerowie przez cały czas kariery Maradony – ulega; trzeba być wyrozumiałym wobec kogoś, kto jest poza dobrem i złem, wobec półboga sportowego świata. Diego przyjeżdża do klubu, a widząc kilku mężczyzn rozmawiających z kobietami, każe właścicielowi oddać im pieniądze i ich odprawić.

Nad ranem wraca do hotelu w stanie, jak to określi jeden z portierów, „dziwnego podniecenia”. Wchodzi do windy z dwiema dziewczynami, ale kiedy ruszają, gaśnie światło. Wiem, co to klaustrofobia i ataki paniki, rozumiem więc coś z uczuć Diega, jednak to, co następuje potem, wyraźnie dowodzi, że jeszcze trochę brakuje do tego, aby nasze żywoty pokryły się całkowicie.

Dla Maradony to doświadczenie z windą nie jest tylko chwilą strachu i osaczenia. Staje się podróżą do piekła i z powrotem, jaką już przeżył: dławiące poczucie uwięzienia w straszliwej ciemności bez wyjścia, jak wtedy, gdy jako dziecko wpadł do otwartego kanału i zaczął się topić w zbiorowym szambie, zanim wyratował go wuj Cirilo. Teraz, w Alicante, Diego zachowuje się jak dzikie zwierzę w głuszy, pojmane i zamknięte w klatce. Kopie, aż stopy zaczynają krwawić, ciska się, aż cały zlany jest potem; walczy z nienawistnym wrogiem, którego zawsze czuł obok siebie i w sobie.

Kierownik hotelu pozna konsekwencje jego gniewu, kiedy z pomocą przyjdzie straż pożarna. Diego rozbija i niszczy wszystko, co

stanie mu na drodze: stoły, krzesła, bez różnicy. „Zabieraj się stąd, głównie warta ta twoja praca!”, wrzeszczy na agenta ubezpieczeniowego, który zjawia się, aby oszacować straty.

Do incydentu w Alicante dochodzi dokładnie rok po tym, jak triumfalnie wrócił do dawnego klubu, Boca Juniors, kiedy skończyło się jego piętnastomiesięczne zawieszenie, bo podczas mistrzostw świata w USA test antydopingowy dał wynik pozytywny. Jest tu coś z *déjà vu*. Życie Maradony przypomina jazdę na rollercoasterze: wzloty na szczyty sławy i upadki na dno hańby. My wszyscy, którzy przez lata śledziliśmy jego karierę, nie ogłaszamy popieszczenia, że jest już na zawsze skończony ani że ostatecznie zwyciężył. Ale nawet najbliżsi przyjaciele Maradony szeptem mówią prywatnie to, co boją się wyznać publicznie: jeśli Diego dalej tak będzie postępował, to długo nie pożyje.

MYŚLĘ O NIM, SIDZĄC NA krześle z upudrowaną twarzą, cieniami na powiekach i różem na policzkach, przygotowuję się bowiem do występu na żywo w telewizji. Ciśnienie sławy, wykoślawienia, których źródłem są wielkie pieniądze... Mam wystąpić w najpopularniejszej hiszpańskiej stacji, co oznacza, że podpisałem pakt z diabłem. Za darmowy bilet powrotny do Madrytu i możliwość zareklamowania książki zgodziłem się wystąpić w stacji telewizyjnej, która poważne reportaże utyka między niewybrednymi komediami i miękkim porno.

Przed programem siedzę jakiś czas z innym zaproszonym gościem. To Lucia, dziewczyna z Katalonii. Ma około trzydziestki i zdaje się, że życie nie obchodziło się z nią łagodnie.

– Jestem tutaj, bo już jako dziesięciolatka nie patyczkowałam się ze swoim ciałem – mówi i unosi spódnicę, aby pokazać mi dwie wielkie oparzeliny na udach. Na nadgarstkach ma blizny po eksperymentach z samookaleczaniem.

Lucia opowiada mi, że była molestowana jako dziecko, a od czasów dojrzewania zgwałcono ją pięciokrotnie, ostatni raz w szpitalu dla nerwowo chorych, z którego uciekła, aby uczestniczyć w programie.

Minuty dzielące nas od występu upływają, a Lucia wyznaje:

– Ale wiesz, mam jeszcze inne życie. Lubię pisać, zwłaszcza wiersze. Myślę, że w ten sposób staram się znaleźć miłość.

Ja mam być pierwszy. Muszę sięgnąć po całe swoje dwudziestoletnie doświadczenie dziennikarskie, aby wyprzedzać pytania i kontrolować odpowiedzi, w wywiadzie najwyraźniej chodzi bowiem o to, aby wyeksponować tylko wszystkie złe aspekty życia Diega.

Nie powiedziałbym wprawdzie, że uważam go za najbliższego przyjaciela, staram się jednak z życzliwością nakreślić obraz kogoś, kto padł ofiarą ludzi, od których należałoby oczekiwać czegoś innego niż niszczenie cudzego życia: lekarzy, menedżerów, polityków żerujących na Maradonie przez cały czas jego kariery. Prezenter stara się wymusić na mnie ostateczną *estocada*, pchnięcie zadane geniuszowi, być może śmiertelnie rannemu, ja jednak chcę zakończyć wywiad pojednawczym gestem.

„Wielka szkoda, że Diego zaatakował książkę, wcześniej jej nie przeczytawszy. Moglibyśmy wtedy zasiąść przy drinku i spokojnie sobie porozmawiać”, mówię, zanim przed kamerami stanie Lucia.

Biedna dziewczyna. Żadnego doświadczenia dziennikarskiego, ofiara brutalnie poturbowana przez życie, obrazy jej poharatanego ciała na milionach ekranów telewizyjnych, podczas gdy ona stara się wyjaśnić, dlaczego robi to, co robi.

Wieczorem okazuje się, że stacja telewizyjna wynajęła nam pokoje w tym samym luksusowym hotelu w centrum Madrytu. Recepcjonistka jest pewna, że zabrałem Lucię z ulicy, rzuca mi więc konspiracyjne spojrzenie, gdy prosimy o osobne pokoje. Mamy już wejść do windy, kiedy pytam Lucię, czy nie wypiłaby ze mną w barze drinka na dobranoc.

– O niczym bardziej nie marzę – odpowiada i w jej promiennym uśmiechu na chwilę rozplywa się napięcie zrujnowanego życia.

DIEGO WRACA DO BUENOS Aires, a ja do Londynu. On kontynuuje kurację; wygląda na to, że nie ma ona końca: walka z czarownicami, ze starzeniem się, z tym, że nie gra już w piłkę tak jak kiedyś.

Czuję, że to nasza wspólna walka: bo oto zmarł mój ojciec, książka jest napisana, a na biurku stoi kartka pocztowa z wietnamskimi wieś-

niakami, na której odwrocie widnieje napis Miss Saigon. Moja eksdziewczyna wyjechała do Sajgonu, jakby już nie było innych miejsc na świecie, pozostawiając mi swojego ducha i cień Diega. Wydawca informuje mnie, że książka wzbudziła duże zainteresowanie, a ja nie mogę się zebrać, aby mu wyznać, że to, co napisałem, przywołało okropne wspomnienia innych zdarzeń.

– Jak się czujesz? – pyta mnie przyjaciel pewnego dnia, gdy zima zaczyna już chwytać Londyn w swe mroźne uściski. Kopiemy piłkę w parku nad rzeką.

– Sypię się, bracie, sypię się – mówię mu.

Jestem tam, gdzie kiedyś znalazł się Diego: w zbiorowym szambie życia. Wspomnienie wuja Cirilo wyciągającego Diega z kanału przypomina o wielkiej żywotnej sile Maradony, ale mnie najbardziej dręczy niemożność pozostawienia napisanej książki raz na zawsze za sobą.

Byłem pewien, że skończyłem już ją promować, kiedy nagle rozdzwaniają się telefony. Przez dobre dwa tygodnie argentyńscy dziennikarze zadręczają mnie pytaniami, co sądzę o ostatnim upadku Diega. Zainteresowanie moją książką jeszcze wzrosło, kiedy aresztowano Coppolę pod zarzutem uczestnictwa w siatce szmuglującej narkotyki. Diego w ciszy rozpamiętuje uwięzienie przyjaciela i powiernika; zaczyna wierzyć, że to część wielkiego spisku przeciw niemu, którego elementem jest moja książka. Jego prawnicy rozesłali listy do kilkunastu osób, moich rozmówców, i domagają się, aby odwołali swoje słowa.

Postępowanie przeciw Coppoli zostaje zawieszono, pojawia się bowiem sugestia, że to policja podrzuciła mu do mieszkania kokainę, a potem podstawiała fałszywych świadków. Maradona zeznał przed sądem, że on i jego menedżer są niewinni, a samo to wydarzenie stało się dowodem jego niegasnącej popularności; wszyscy pracownicy sądu zbiegli się i prosili o autograf, a także o wspólne zdjęcie z dawną gwiazdą.

W przeszłości tego typu reakcje umacniały w Maradonie przekonanie, że jest poza dobrem i złem i że ma w swojej ojczyźnie bardzo silną pozycję. Czemu więc z taką łatwością zgadzam się na propozycję mojego argentyńskiego wydawcy, aby odbyć kolejną podróż promocyjną?

Cóż, Maradona nadal mnie fascynuje, coś jednak szepcze mi w duszy, że musimy się rozliczyć, gdzieś, jakoś; bohater i biograf muszą

wyrównać rachunki... Nie, nie „gdzieś”, lecz tam, gdzie wszystko się zaczęło, i to nie tylko w sposób, którego ani ja, ani on nie wybieramy. Nawet nie potrafilibyśmy go przewidzieć.

I OTO KIEDY DRUGIEGO KWIECZNIA szykuję się, aby wsiąść do samolotu British Airways, którym polecę do Buenos Aires, nie mogę nie zastanowić się nad znaczeniem tej daty: piętnasta rocznica mojej próby ogniowej jako zagranicznego korespondenta „Financial Times” w Buenos Aires. Drugi kwietnia 1982 roku, tłumy z narodowymi flagami i antybrytyjskimi sloganami napływają na Plaza de Mayo, a ja czuję się porażony myślą, że Argentyńczycy i Anglicy niebawem mogą zacząć się zabijać na odległych wyspach.

W przeddzień inwazji poszedłem zobaczyć Maradonę w towarzyskim meczu ze Związkiem Radzieckim. Nad stadionem River Plate przetoczył się okrzyk „Kto nie skacze, jest Anglikiem!” i wszyscy zaczęli podskakiwać. Tymczasem zawodnik numer jeden w reprezentacji Argentyny – nie ja – był skazany na klęskę, grając na boiskach Hiszpanii, mojego rodzinnego kraju. Argentyńskie media mogły łączyć o tym, co działo się w okopach, ale z meczami transmitowanymi na żywo z Hiszpanii niewiele dało się zrobić, a mało brakowało, by ludzie wyłączyli odbiorniki i wyszli na ulice. Wpatrzone w telewizory miliony Argentyńczyków ignorowały informacje, że pociski spadają na Port Stanley, a ich oddziały są w odwrocie, widziały natomiast, jak ich drużyna przegrywa 1:0 z Belgią, a w meczu z Brazylią Maradona zostaje wyrzucony z boiska za brutalny faul na pomocniku, co stanowiło upokarzające zwieńczenie jednego z jego najgorszych występów w trakcie całej kariery.

Piętnaście lat później nie mam żadnych podniosłych rocznicowych wrażeń. Na kilka dni przed wyjazdem do mojego londyńskiego biura dociera list z zawołowaną groźbą śmierci; wysłał go ktoś, kto podaje się za weterana wojny falklandzkiej.

Mieszkając w Argentynie, otrzymałem więcej pogroźek, niż potrafiłbym zliczyć. Niektóre były zwykłymi wygłupami, ale niektóre brzmiały na tyle poważnie, że Ministerstwo Spraw Zagranicznych poradziło mi, że bym na jakiś czas wyjechał z kraju. Skontaktowałem

się więc ze znajomym policjantem i spytałem, czy MI5 nie wyjaśniłoby tej sprawy. „To może potrwać do dwóch miesięcy”, usłyszałem w odpowiedzi.

Kiedy na stacji Victoria zgłaszam się do stanowiska odpraw na lotnisko Gatwick, urzędniczka British Airways patrzy na mnie dziwnie.

– Przepraszam pana, ale komputer informuje mnie, że będzie pan potrzebował fotela na kółkach – mówi.

Tłumaczę jej, że to jakaś pomyłka.

– Nie widzi pani, że stoję na własnych nogach?! – krzyczę w pewnej chwili, chociaż zaczynam już w duchu podejrzewać, że to Diego rzucił na mnie zły urok.

Na Gatwick poszukują przez głośniki doktora Burnsa. Gdy pracownica British Airways pyta: „Czy będzie panu potrzebny fotel na kółkach?”, jestem już pewny, że to pomysł Maradony na złośliwy dowcip.

NA LOTNISKU W BUENOS AIRES Ignacio, rzecznik prasowy mojego argentyńskiego wydawcy, Planety, jest bliski załamania nerwowego.

– Z czymś takim nigdy jeszcze się nie spotkałem – mówi. – Nikt nie chce nawet dotknąć twojej książki. Wszyscy powtarzają, że muszą być w porządku wobec Diego. To jak mafia.

Niemniej jednak po kilku godzinach przeprowadza ze mną wywiad Ezequiel Fernández Moores, dziennikarz sportowy z „Pagina 12”. Ezequiel ma za sobą ciężkie dni, bo i on opublikował nieautoryzowaną biografię, opowieść o innym argentyńskim bohaterze, Oscarze Bonavenie, który był bokserem zastrzelonym w burdelu w Las Vegas. Nie mamy jednak pojęcia, co nas czeka.

Popijamy sobie kawę w holu mojego hotelu, kiedy spostrzegam Carlosa Bilardo, byłego trenera reprezentacji argentyńskiej. Niektórzy z angielskich kibiców mogą pamiętać, że twarde i realistyczne podejście do futbolu – dozwolone jest wszystko, co zapewnia zwycięstwo – Bilardo wyrobił sobie w czasach, gdy grał w Estudiantes, klubie, który w latach sześćdziesiątych zdobył mistrzostwo Argentyny. W meczu z Manchester United Bilardo uderzył z byka Nobby'ego Stilesa, a jego kolega Carlos Pachame kopnął w piszczel Bobby'ego Charltona.

Nie mam jednak żadnych osobistych zastrzeżeń do Carlosa Bilardo, który poświęcił mi całą godzinę i przekazał kilka interesujących opinii na temat mistrzostw świata w Meksyku w roku 1986. To zdecydowanie nie spodobało się Maradonie i kazał swoim prawnikom wysłać list do Bilardo (a potem wszystkich innych osób, które udzielały mi informacji) z groźbą skierowania sprawy do sądu, jeśli nie poda do publicznej wiadomości, że nigdy ze mną nie rozmawiał.

Chcę się przywitać z Carlosem Bilardo i jakoś mu podziękować, ale Diego dotarł do niego pierwszy. Nobby'emu jakoś się to nigdy nie udało.

– Cześć, Carlos. Pamiętasz mnie? Nazywam się Jimmy Burns i przeprowadziłem z tobą rozmowę na temat Diega.

Przyjaznym gestem wyciągam rękę, Bilardo chwyta ją, ale natychmiast wypuszcza, kiedy mnie poznaje.

– Jasne, jak mam nie pamiętać takiego skurwysyna. Wypierdajaj czym prędzej z tego kraju. – Przez chwilę wygląda, jakby miał mi przyłutować, ale ostatecznie decyduje się na słowa absolutnej pogardy. – Właściwie powinniśmy ci obciąć jaja.

Z tymi słowami odchodzi. Nazajutrz Fernández Moores w złagodzonej formie przedstawia króciutki dialog w swej gazecie. *Burns został ostrzeżony, że sprzedaż Ręki Boga w Argentynie może być niełatwym zadaniem.*

DZIEŃ TRZECI. ZACZYNAM czuć się jak Diego po zejściu z koki; dopada mnie paranoja podsycana przez surrealizm argentyńskich mediów. Dziennikarz zaczyna wywiad ze mną, cytując wiersz Borgesa o wojnie falklandzkiej. Mowa tam o Brytyjczyku i Argentyńczyku, którzy polegli w walce, bardziej do siebie podobni, niż sami mogli przypuszczać.

Mogli zostać przyjaciółmi – pisał Borges – ale tylko raz zobaczyli swoje twarze na jakichś wyspach aż nazbyt sławnych, każdy z nich był Kainem i każdy był Ablem. Pochowano ich razem, znają ich śniegi i popioły. Moja opowieść należy do historii, której nie potrafimy pojąć.

Zastanawiam się nad sensem tego cytatu. Czy z powodu Maradony rozpętam kolejną wojnę o Falklandy? Czy też podobnie jak bohaterowie wiersza – Juan Lopez i John Ward – jesteśmy zmienni, symbiotyczni, biograf jest bohaterem, bohater biografem...

– Panie Burns, słyszy mnie pan? Dobrze się pan czuje? – pyta dziennikarz.

„Przywalileś mi, sukinsynu, tak jak chciałeś”, pragnąłbym odpowiedzieć, ale mówię:

– Tak, tak, wszystko w porządku, po prostu bardzo mnie te słowa poruszyły.

Zaczynają dzwonić telefony od słuchaczy. Jakaś kobieta piskliwym głosem oznajmia: „Moim zdaniem ten Burns przyjechał po to tylko, aby nas ograbić z jedynej rzeczy, która do nas należy”. Mężczyzna: „Kawał z ciebie skurwysyna”. Potem odzywa się Guillermo Coppola, menedżer Maradony, świeżo wypuszczony z pudła. „Burns to łgarz, a książka składa się z samych kłamstw”, oznajmia radiowej publiczności w najlepszym czasie antenowym. „Czy czytał pan książkę?”, pytam za pośrednictwem radia Coppolę. Przyznaje, że nie czytał.

Wieczorem jem kolację z kilkoma argentyńskimi przyjaciółmi, a rozmowa kręci się wokół potęgi mitu we współczesnej Argentynie.

– Tutaj ludzie nadal sądzą, że najważniejszym problemem politycznym jest to, czy Evita zmarła jako dziewczica, czy nie – mówi znajomy dziennikarz telewizyjny.

Dzień czwarty. Maradona mdleje podczas programu telewizyjnego w Chile. Przedawkowanie? Atak serca? Nie, wszystko w porządku, uspokaja Coppola, po prostu w studiu był zaduch. Ignacio znajduje kolejnych miejscowych dziennikarzy chętnych do rozmowy ze mną.

Dzień piąty. Nagrywamy wywiad dla jednego z najpopularniejszych w Argentynie programów piłkarskich. Dziennikarz zadający pytania przyznaje, że większość moich odpowiedzi nie będzie mogła pójść.

– Dlaczego? – pytam.

– Napisał pan książkę o polityce, narkotykach i mafii. To tutaj drażliwe tematy. Raczej nie nadamy tej audycji w obawie o reakcję Diega.

Kolejny program z udziałem widzów. Prowadzi dawna modelka, teraz gwiazda telewizji. Moja książka leży przed nią świeżutka i najwyraźniej nawet nieotwarta. Futbol chyba śmiertelnie nudzi prezen-terkę, ale za swój profesjonalny obowiązek uważa podjęcie tematu, który wzbudził lokalne zainteresowanie. Zjawia się menedżer Diega, Coppola, poproszony o wydanie fachowej opinii, i ponownie oskar-ża mnie o kłamstwo. Po nim odzywa się dawny księgowy Maradony, Marcos Franchi, z którym w październiku 1995 roku przeprowadzi-łem wywiad. Teraz oskarża mnie, że całą rozmowę zmyśliłem.

Spotykam się z Luisem Moreno Ocampo, prawnikiem, z którym zaprzyjaźniłem się podczas procesu o gwałcenie praw obywatelskich w trakcie wojny falklandzkiej, wytoczonego przedstawicielom woj-skowej junty. Wtedy zastępował prokuratora stanowego.

Oznajmia, że z powodzeniem działa teraz w telewizji, i proponuje, bym wraz z Franchim wziął udział w jego programie.

– Ależ będę miał wskaźnik oglądalności – dodaje z lekkim sar-kazmem.

Program Luisa Moreno Ocampo nosi tytuł *Forum*; uczestnicy mó-wią nawzajem o sobie, co chcą, wcześniej na piśmie rezygnując z kro-ków prawnych wobec przeciwników. W kraju, w którym udowodnie-nie oszczerstwa jest długie i kosztowne, wydaje mi się to kuszącą możliwością obrony mojej reputacji. Franchi telefonicznie przyznaje, że przeprowadziłem z nim wywiad, ale nie zgadza się na udział w pro-gramie.

Dzień szósty. Fotograf upiera się, żeby zrobić mi zdjęcie, kiedy ba-lansuję z piłką na głowie niczym Maradona. Jesteśmy pośrodku Flori-dy, dzielnicy handlowej Buenos Aires. Chudzielec w garniturze, w ni-czym nie przypominam sportowca, ale za sprawą „ręki Boga” udaje mi się utrzymać piłkę na czubku głowy na tyle długo, aby automat zrobił dziesięć zdjęć. Cały ten cyrk zaczyna mnie już jednak nużyć, przypo-mina się Mailer. Pisał o więźniu seksu, ja jestem więźniem Maradony:

Sława to częściej dzwoniący telefon i domaganie się wywiadów, których nie masz ochoty udzielić i nie udzielasz... sława to także konieczność powstrzymywania się od sikania w zaułkach w obawie przed gliniarzami oraz tytułami na pierwszych stronach gazet...

Wiozą mnie nieopodal cmentarza La Recoleta, gdzie przez lata co jakiś czas chowano szczątki Evity. Facet w czapce baseballowej i z wielkim mikrofonem przypuszcza następny atak z obozu Maradony. „A jak czuliby się Anglicy, gdyby jakiś Argentyńczyk zjawiał się u nich, żeby napisać książkę o księciu Karolu i Lady Di?” „Byliby zachwyceni”, odpowiadam.

Dzień siódmy. Ostatni wieczór w Buenos Aires; szybko zapominam, że rano czeka mnie jeszcze ostatni wywiad. Ktoś mógłby powiedzieć, że to typowy wieczór Diego Maradony. Wokół mnie muzyka, gorzała, kobiety, jointy, kreski koki głęboko wciąganej z piekła w światła miasta. Kilka osób ląduje wspólnie w pokoju hotelowym, opróżnia minibarek, ogląda słońce wschodzące nad River Plate, a potem wywiad, tylko ja i mikrofon – cichy i groźny. Słowa mnie zawodzą, nie potrafię wyrazić gniewu wobec świata, który się sprzysiągł przeciw mnie, teść Maradony wzywa słuchaczy do bojkotu książki.

POSTSCRIPTUM. PIERWSZY DZIEŃ W LONDYNIE. W powietrzu wiosna, ale ja czuję się wyjałowiony. Kiedy do mojej znajomej, mieszkającej w Anglii Argentynki, dzwoni Coppola, ta pyta:

- Guillermo, czemu tak się przyczepiliście do Jimmy’ego?
- Chodzi nam tylko o trzydzieści procent z honorarium.

I kiedy potem w jakiejś londyńskiej księgarni trzymam w ręce świeżo wydrukowany egzemplarz wydania w miękkiej oprawie, czuję, że jakaś jego część nie należy do mnie. Przypomniano mi, jak fascynująca jest gra i jakie są jej granice. Kochałem i nienawidziłem Diega. Zaczynam się wygrzebywać z gówna, w którym wylądowałem za sprawą ukochanej osoby. Zaczynam ostrożniej spoglądać na tych, dla których futbol stał się obsesją. Wyrzuciłem pocztówkę z Sajgonu.

1

ZMARTWYCHWSTANIE

PAŹDZIERNIK 1995 ROKU. W BUENOS Aires zaczęła się wiosna. W powietrzu unosi się słodki zapach jakarandy i basowy odgłos bębnow, flagi łopoczą na wietrze, a tysiące kibiców ciągną na stadion drużyny Boca Juniors, La Bombonera. *Bombonera* to po hiszpańsku „bombonierka”, ale scena nie jest bynajmniej słodka. Oto niedziela w jednej z najpiękniejszych stolic Ameryki Łacińskiej, ale tłum przypomina hordę dzikusów. Mężczyźni – niewiele jest tu kobiet i dzieci, sport dalej różnicuje – są półnaczy i powiewają koszulami, prac przed siebie tak, jakby szli do bitwy. Ich wódz, Diego Maradona, spogląda z wysokości dwupoziomowego autobusu nieruchomymi ciemnymi oczami. Krótko ostrzyżone włosy ufarbował na wojenne barwy Boca, przy uchu trzyma telefon komórkowy. Chórem dyryguje reporter radiowy, który łamiącym się histerycznie głosem powtarza: „Nasz idol jest z nami, nasz idol jest z nami”. Nad River Plate gromadzą się oddziały konnej policji z długimi pałkami i gazem łzawiącym.

Na stadionie kibice szczerlnie wypełniają trybuny. Wysokie ogrodzenie z drutu i fosa wokół boiska koncentrują i podkreślają ich pasję. La Bombonera wibruje od tupotu stóp i odgłosu wystrzałów: zbiorowy, potężniejący z każdą chwilą taniec wojenny.

Pośrodku boiska widoczne jest wielkie pudło, opakowane i obwiązane wstążką, w tej chwili jednak wszyscy wpatrzeni są w długi, przypominający kształtem parówkę tunel, z którego wynurzają się Maradona i pozostali zawodnicy Boca Juniors. Stadion wybucha jednym wielkim rykiem, gdy idol robi znak krzyża i w triumfalnym ge-

ście wznosi ręce ku niebu. „Maradoona... Maradoona!”, wrzeszcza kibice. Opada wielki balon z napisem: WITAMY ZNOWU, DIEGO! Dla tych *descamisados*, półnagich, którzy nigdy nie stracili wiary, to chwila magiczna. Idol bez najmniejszego wysiłku przerzuca piłkę z jednej stopy na drugą, podbija ją na piersi i pozwala jej znowu opaść na stopę. Potem, ciągle z piłką u nogi, biegnie po zaścielających płytę boiska wstępach papieru ku pudłu, które tymczasem zaczęło ożywać. Nagle z hukiem rozpada się niczym petarda, a ze środka wybiegają dwie córki Maradony, także w barwach Boca Juniors – prezent od mistrza ceremonii Guillermo Coppoli, menedżera i organizatora nocnych wypraw. Młodzieńcza niewinność ma zapewne ostatecznie odegnąć zmyły.

Minęło niemal piętnaście miesięcy od chwili, gdy Maradona opuszczał w niesławie mistrzostwa świata w USA po aferze z kontrolą antydopingową. Wielu ludzi sądziło, że to ostateczny koniec kariery nieustannie lawirującego między sukcesami i skandalami piłkarza. Tymczasem dzisiaj na La Bombonerze bóg powraca, jawnie udowadniając światu, że Maradona tak łatwo nie umiera. Wyraźnie brak mu szybkości, by ogrywać przeciwników i strzelać bramki, nadal jednak dalekie przerzuty są bezbłędne, podobnie jak orientacja na boisku. Diego nadaje sens dość bezładnej grze, stwarzając dla Boca kilka okazji do strzelenia bramki. Kiedy ta wreszcie pada w ostatniej minucie, Maradona bezpośrednio w tym nie uczestniczy, jednak jego udział w grze był tak istotny, że nikt z sześćdziesięciu tysięcy widzów nie ma mu za złe, że gola przypisuje sobie. Gdy piłka grzęźnie w siatce, Maradona odwraca się i z triumfalnie uniesionymi rękami biegnie przez boisko ku rodzinie, Coppoli i kamerom telewizyjnym. Ostatni raz biegł tak po trzecim голу strzelonym Grecji podczas feralnych dla niego mistrzostw świata. Tak jak wtedy, chce dziś powiedzieć ludziom, że jest najlepszy, że niełatwo go pokonać. *Olé, olé, olé, olé, Diego, Diego!*, wiwatuje tłum. Tak, bóg wrócił.

To, że zmartwychwstanie po ostatecznym na pozór upadku dokonuje się właśnie na La Bombonerze, przypomina, że Maradony nie da się odłączyć od kraju, w którym się urodził i wychował. Jeśli można być czegoś pewnym co do niego, to tylko tego, że kiedy umrze – nieważne, jak do tego dojdzie – pogrzeb w Buenos Aires będzie tak wiel-

ki jak pogrzeb Evity, a ludzie i tak nie uwierzą, że bohater naprawdę umarł. To, że Argentyna jest zwariowana na punkcie futbolu, najlepiej widać w płomiennych zachowaniach kibiców Boca, z których wielu, jak Maradona, pochodzi z rodzin imigrantów mieszkających się z Indianami. Żyją piłką nożną, oddychają nią, bo nie mają niczego innego, w co mogliby wierzyć. W dziejach Argentyny roi się od fałszywych proroków.

Każdy argentyński piłkarz godny tego miana powie, że chciałby kiedyś zagrać w Boca. Maradona oznajmił to jako mały chłopiec, ale posunął się o krok naprzód: miał jeszcze drugie pragnienie – chciał zdobyć mistrzostwo świata. Zaczynał dwudziesty pierwszy rok życia, gdy pomógł Boca Juniors zostać mistrzem kraju. Powrócił na La Bombonerę po tym, gdy jako kapitan poprowadził swoją drużynę do mistrzostwa świata. Po wspaniałym występie na stadionach Meksyku w roku 1986 ogłoszono go najznakomitszym piłkarzem wszech czasów. Liczący sto sześćdziesiąt pięć centymetrów wzrostu, obdarzony siłą woli i świetną koordynacją ruchów, Maradona połączył w sobie umiejętności Pelé w ocenie sytuacji z wszechstronnością Johana Cruyffa. Tyle że Maradona umykał wszelkim porównaniom. Nie poddawał się klasyfikacjom, tak jak opierał się żądaniom prezesów klubów i reżimowi trenerów. Na tym polegała jego charyzma.

Rodacy pokochali Maradonę, ponieważ w kraju roztrąbiono wieść o sukcesie jednego człowieka, który rekompensował im tak wiele porażek ich ojczyzny. Maradona nie tylko dał Argentyńczykom poczucie tożsamości, ale także pokazał drogę ucieczki. W jego grze dostrzegli czystość, którą nazwali poezją.

Swą ogromną popularność zawdzięcza temu, że stał się ucieleśnieniem zwycięstwa i sławy, które zyskuje się tylko dzięki wrodzonemu talentowi do gry. Legenda o drodze od łachmanów do bogactwa, którą kroczy geniusz skazany przez los na sukces, karmi się między innymi fragmentem z kroniki filmowej, w którym mały Maradona na piaszczystym boisku na przedmieściach demonstruje swe niebywałe panowanie nad piłką. Powstał mit wrodzonego talentu, który walczył o zwycięstwa, ale czasami potrafił też po prostu cieszyć się grą. Bywały dni, gdy zapominał, kim się stał, i wychodził na boisko tylko dla piłki.

Mnóstwo jest opowieści o międzynarodowej sławie Maradony i najczęściej więcej mówią o kraju, w którym powstały, niż o samym piłkarzu, w każdym razie dwie wydają się szczególnie godne wspomnienia, ilustrują bowiem to, w jakim stopniu udało mu się przełamać uprzedzenia kulturowe i granice między państwami. W pierwszej grupa argentyńskich turystek zwiedzających Egipt staje się podczas oglądania piramid obiektem niewyszukanych zalotów ze strony miejscowych. Kobiety na próżno z coraz większą stanowczością i desperacją powtarzają, żeby dać im spokój, aż nagle jednej przypomina się to, co usłyszała przed wyjazdem od brata, fana Boca: Maradona rozegrał mecz towarzyski gdzieś na Bliskim Wschodzie i pomógł uruchomić tam szkółkę piłkarską dla chłopców. Kobieta cofa się więc i krzyczy: „Maradona!”, na co Egipcjanie spoglądają po sobie i zaraz potem przenoszą swoje zainteresowanie z seksu na futbol, dzięki czemu po kilku minutach argentyńskie turystki mogą spokojnie odejść.

W drugiej opowieści Maradona jedzie londyńskim metrem w wielkim kapeluszu i długim płaszczu, którego postawiony kołnierz zasłania większą część twarzy. Podczas tego – jednego z nielicznych – wyjazdu do Anglii miał wykład w towarzystwie dyskusyjnym Oxford Union i, co dla niego typowe, wyglądało na to, że spóźni się na samolot. Argentyński student, który się nim opiekował, mówi mu, że na Heathrow szybciej dojedzie metrem niż taksówką. Diego zgadza się, ale tylko pod warunkiem, że się przebierze, obawiał się bowiem, że jeśli zostanie rozpoznany, ludzie zaczną go zaczepiać albo nawet na niego napadną. Wszystko jest w porządku do chwili, gdy cztery stacje przed lotniskiem jeden z pasażerów głośno oznajmia wszystkim, że w wagonie jest Maradona. Urywają się rozmowy i pasażerowie patrzą na piłkarza. Już po chwili otaczają go ciasnym kręgiem i proszą o autografy. Większość z nich to Anglicy; jeden mówi, że nie zapomniał mu „ręki Boga”, ale pamięta też drugiego gola strzelonego przez niego podczas tego meczu, jedną z najsłynniejszych bramek w dziejach futbolu.

Talent jest tylko częścią historii Maradony. Jego mit jako boga był podsycany przez interesy ekonomiczne oraz narodowe i regionalne przesady. Już na wczesnych etapach kariery Maradona stał się obiektem handlu i polityki. To on uruchomił lawinę rekordów trans-

ferowych i to za jego sprawą tak istotną rolę w międzynarodowym futbolu zaczęły odgrywać kwestie sponsorów i praw do transmisji. Maradona stał się elementem mechanizmów rynkowych. Kiedy teraz wraca na stadion Boca Juniors, historia zatacza koło nie tylko w jednym sensie. Umowa z telewizją na dziesięć milionów dolarów zostaje przygotowana przez tego samego biznesmena, który pod koniec lat siedemdziesiątych załatwił Maradonie pierwszego sponsora.

Grając w piłkę nożną w krajach, w których futbol nieodłącznie spleciony jest z niezwykle emocjonalną polityką, a media wywierają na piłkarzy ogromny nacisk, Maradona nie miał pojęcia, że przypadnie mu w udziale rola daleko wykraczająca poza granice sportu. Zewnętrzne naciski na Diega miały niekiedy dość nikczemny charakter, jak w przypadku lekarzy, którzy przez chwilę interesowali się tą „maszynką do robienia pieniędzy”, lecz niespecjalnie troszczyli się o to, by przez dłuższy czas mógł żyć godnie.

Tragedia, ale także i impet życia Maradony mają źródło w nędzy, jakiej zaznał w dzieciństwie. Najstarszy syn i łobuziak, bardzo szybko dzięki grze w piłkę staje się głównym żywicielem rodziny, co ogranicza mu czas na edukację i na rozważenie innych możliwości. Na stadionie Boca siadywałem obok rodziców Diega, Chitoro i Toty, mogłem więc przyglądać się, z jaką pasją oboje – a zwłaszcza matka – obserwują występy syna na boisku.

Trudno sobie wyobrazić Maradonę z innym pochodzeniem. To właśnie życie w slumsach zrodziło głód sukcesu, ale także zwichnięty system wartości, w którym było miejsce na przesady i kaprysy. Mniej oczywiste jest to, w jakim stopniu życie Maradony mogłoby się potoczyć inaczej, gdyby miał innych przyjaciół i menedżerów albo grał w innych krajach, nie ulega jednak wątpliwości, że zarówno jego przyjaciele, jak i doradcy ponoszą nie mniejszą niż lekarze odpowiedzialność za osobiste i zawodowe kryzysy, których tak często doświadczał w trakcie swej kariery. Zbyt wiele było w jego otoczeniu osób, które nadskakiwanie myliły z lojalnością i tolerowały jego wysoki, kiedy przydałyby się krytyka i sprzeciw. Jeśli uwzględni się szerszy kontekst, trzeba przyznać, że oskarżenia o hipokryzję, które Maradona kilkakrotnie formułował pod adresem niektórych działaczy piłkarskich, nie były całkiem bezpodstawne. Ci, kiedy było im to na

rękę, niejednokrotnie przymykali oczy na jego wybryki, a potem, gdy uznali, że nie da się już na nim zarobić, z oburzeniem je piętnowali. Znaczna wina spada tu na działaczy klubów, w których grał, trenerów i menedżerów reprezentacji, przedstawiciele argentyńskiej federacji piłkarskiej, a także – i to wcale nie na samym końcu – urzędników FIFA, najważniejszej instytucji zarządzającej światową piłką nożną. To przesłaniające wszystko inne pragnienie czerpania korzyści finansowych z Maradony wcale nie służyło interesom piłki nożnej.

Potraktowanie Maradony jako ofiary niezależnych od niego okoliczności byłoby jednak zbyt prostym rozwiązaniem. Bo tak naprawdę to w sobie miał największego wroga i najlepszego przyjaciela. Wrodzona słabość charakteru sprawiała, że nie potrafił poradzić sobie z presją, na jaką wystawiły go sukces i sława. Nie znosił, kiedy napierał na niego tłum, ale popadał w głęboką depresję, gdy uznawał, że ludzie go ignorują czy nienawidzą. W najlepszym nastroju widywałem Maradonę, kiedy w towarzystwie kilku przyjaciół jadł pizzę, popijając ją jakimś napojem bezalkoholowym. Wydawał się wtedy odprężony, zaprzyjaźniony ze sobą i światem, pełen życzliwości i radości. Widywałem też Maradonę w jego najgorszym wydaniu, gdy nie całkiem jeszcze wyleczony z efektów nocnych wybryków czy też gniewu po porażce, wybuchowy i opryskliwy, zachowywał się podczas konferencji prasowych niczym udzielny władca wobec natrętnych poddanych. Można tylko zgadywać, czy wszystko potoczyłoby się inaczej, gdyby za radą Ossiego Ardilesa wyjechał do Anglii, a nie do Hiszpanii. Być może odczuwałby wtedy mniejszą potrzebę wypowiedzania się na jakikolwiek inny temat niż piłka nożna. Jednak i w angielskim futbolu zdarzają się przypadki uzależnienia od narkotyków, jak u Paula Mersona czy Erica Cantony z jego popisami kung-fu.

Tak czy owak, Maradona jest produktem swej ojczyzny. Jego poglądy polityczne stanowią mieszaninę nieprzemyślanych do końca idei, których nigdy nie miał okazji wypróbować. Wprawdzie nakręcony przez BBC w roku 1995 film dokumentalny prezentuje go jako radykalnego rewolucjonistę, ale kiedy Diego wychwala Fidela Castro, to tylko dlatego, że jest on „ostatnim patriarchą z jajami”. W istocie niezmiennym elementem poglądów politycznych Maradony jest żarliwy nacjonalizm, za którego sprawą opowiada się on za każdym ar-

gentyńskim rządem bez względu na to, jak niemoralne mogą być jego poczynania.

W Argentynie angielskie pojęcie *fair play* nie jest ani tak znane, ani tak szanowane jak *viveza*. Słowo to znaczy zasadniczo „żywotność, wigor”, ale też pomysłowość i przebiegłość, których nigdy nie traktuje się pejoratywnie. Argentynskim bohaterem literackim jest Martin Fierro, *gaucho*, którego życie upływa na oszustwach i ucieczce przed ich konsekwencjami. W wywiadzie udzielonym w roku 1994 sam Maradona przyznał, że więcej w nim jest wyniesionej z załków Buenos Aires *viveza* niż prostolinijności argentyńskiej prowincji.

Inny aspekt życia *villero*, mieszkańca wielkomiejskich slumsów, to lojalność wobec wąskiego kręgu krewnych i przyjaciół – czegoś w rodzaju klanu czy plemienia – oraz pogarda dla wszystkich zewnętrznych instytucji. Dlatego Maradona nie sprawdzał się jako osoba publiczna. Podczas starannie reżyserowanych konferencji prasowych udzielał odpowiedzi wykrętnych lub połowicznych albo odpowiadał tylko na pytania, które mu się podobały. W bezpośrednich kontaktach starannie dobierał dziennikarzy, przed którymi odkrywał jakąś swoją część, a i tak owa łaska nie trwała długo.

Wszystko to w jakimś stopniu tłumaczy, dlaczego jego uzależnienie od narkotyków trwało o wiele dłużej, niż można było przypuszczać. Dopiero niedawno przyznał, że sięgał po narkotyki, aby ukryć, jak rozpada się jego życie. Bardzo długo wzbraniał się przed jakimikolwiek wypowiedziami w tej kwestii, aż wreszcie w roku 1996 udzielił argentyńskiemu czasopismu „Gente” wywiadu, w którym podał nieco szczegółów swej przygody z narkotykami i opowiedział o działaniach na rzecz antynarkotykowej edukacji wśród młodzieży.

Przez ponad czternaście lat odmawiał jakichkolwiek rozmów na ten temat, tłumacząc, że publiczność powinna się interesować jedynie jego talentem piłkarskim. Po podobny argument sięgał także wtedy, gdy nie chciał rozważać niektórych aspektów swego życia spoza boiska, jak na przykład dziecka, które urodziło mu się we Włoszech, czy kontaktów z neapolitańską mafią. I pewnie można byłoby zaakceptować taką postawę, gdyby Maradona nie był Maradoną; mówiąc inaczej, gdyby nie pozwolił świadomie na to, aby jego pozycja w świecie wykroczyła daleko poza ramy piłkarskiej kariery, co wymagało ta-

kiej dozy społecznej odpowiedzialności, jakiej nie potrafił i nie chciał w sobie znaleźć.

To w tym kontekście najwyraźniej widać wady Maradony jako człowieka. Jego obrońcy wskazują na jawne ataki, które przypuszczał na szanowane postacie, na przykład na prominentnych działaczy FIFA, i przypominają jego wystąpienia w obronie osób najuboższych i pokrzywdzonych. W rzeczywistości jednak Diego Maradona więcej czasu stracił na ustawienie się w maszynerii FIFA, która pozwalała żyć z futbolu, niż na pomoc dawnym sąsiadom z biednych okolic Esquiny czy Villa Fiorito, więcej wysiłku poświęcił na wywalczenie dla siebie specjalnych uprawnień niż na to, by przestrzec przyszłych piłkarzy, którzy chcieliby sięgnąć po narkotyki, porzucić swe dzieci czy wychylić lampkę szampana z gangsterami.

Być może to, że zbyt wiele oczekujemy od najbardziej skomercjalizowanej dyscypliny sportu, futbolu, piłkarze zaś zbyt wiele oczekują od siebie, jest symptomem komercjalizacji sportu. Gdyby tak nie było, z pewnością ta książka nigdy by nie powstała. Lata temu Maradona prawdopodobnie przeszedłby do historii jako mający obsesję na punkcie futbolu, niezbyt inteligentny zawodnik, który jednak był najlepszym w dziejach piłkarzem. Stał się jednak mitem swoich czasów, porwał za sobą miliony ludzi, zapominając o odpowiedzialności.

Jedną część historii Maradony jest bezsporna. Jego gra z pewnością niekiedy graniczyła z magią, a na jego karierze fatalnie zaciążyły błędy sędziów, brak profesjonalizmu przeciwników i fatalne poczynania działaczy, którzy powinni zdawać sobie sprawę z tego, co robią. Ostatecznie jednak tragedia Maradony zrodziła się z tego, w jakim stopniu własnymi wypowiedziami i czynami próbował nadać sobie status istoty niemal boskiej, odzegnując się zarazem od odpowiedzialności za błędy. Zbyt często niszczył swój talent i mając Boga po swojej stronie, odbierał nie tylko fanom, ale też sobie szansę cieszenia się futbolem w jego czystości i prostocie.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiazka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również w formie **e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).